

# *Wspomnienie Miroslawy Kompińskiej*

*Redakcja wspomnień: Janusz L. Sobolewski*



**Miroslawa Kompińska**  
z domu Rabczewska

(12.07.1908 - 28.03.1997)

Mirosława Kompińska

## Młodości, podaj mi skrzydła

**W**spominam *"czerkaskich ludiej"*... Wspaniali. Kochają swoją ojczyznę, jak my naszą. Jest możliwość pojechania na spotkanie z tym, co było bliskie sercu. Niestety, mam już siedemdziesiąt jeden lat i taka wycieczka nie dla mnie. Niech jadą młodzi i zawiozą moje pozdrowienia dla tych stron, pełnych zabytków naszych dziejów, w których upłynęły mi najmiłsze lata dzieciństwa.

*"Gdyby orłem być/ Lot sokoła mieć/ Lotem orlim lub sokolim/ Unosić się nad Podolem/ Tamtym życiem żyć"...*

Nie pamiętam, czyje to słowa. W życiu pełnym przemian powtarzałam je często. Urodzona na podolskiej ziemi, miodem, mlekiem płynącej, otoczonej lasami i wodami Dniestru, różnymi ruczajkami, w województwie Jampol, w dworku Łysa Góra Rabczewskich.



*Na balkonie*

## Czeska orkiestra

Dziadka Jana Rabczewskiego nie pamiętam. Ocalała jego fotografia, z której spoziera mądra i stanowcza twarz patrycjusza z brodą. Babka Maria, paląca bardzo dużo papierosów, opowiadała, że był on duszą okolicznej szlachty i dobrym panem dla chłopów.

Dziadkowie wychowali troje dzieci: Edmunda - mojego ojca, Waclawa i Marię, które skończyły w komplecie gimnazjum w Berdyczowie. Ciocia Maria, wbrew woli dziadków, poszła do klasztoru w Berdyczowie i tam zmarła. Ojciec Edmund pobierał nauki rolnicze i w Odessie poznał mamę, dużo od niego młodszą. Razem podziwiali przepływające po Morzu Czarnym statki. Papo zakochał się i wbrew dziadkom, którym nie odpowiadało mieszczańskie pochodzenie panny, poprosił ją o rękę. Ślub zaplanowano cichy, trwała żałoba po śmierci ojca mamy. Lecz kiedy nowożeńcy wracali z kościoła w Jampolu, sąsiad Rabczewskich, pan Zieliński, zatrzymał i opłacił przechodzącą opodal czeską orkiestrę, chyba z czterdziestoosobową. I jak ona zagrała marsza!..., tak pozostała w pamięci rodziców na zawsze.

W 1904 roku urodził się mój brat Leopold, dwa lata później Czesław, a pan Zieliński został moim ojcem chrzestnym w 1908 roku.

## Ameryka Olszewskich

Dziadkami od strony mamy byli Teofilia z domu Gromelska i Tomasz Olszewski. Babcia Fela posiadała kamienicę w Warszawie, dziadek był dyrektorem cukrowni w Sokołowie. Przetrwiała pamięć o ich patriotyzmie. Babcia jako nauczycielka szerzyła z poświęceniem oświatę wśród dzieci fabrycznych.



*Babcia Fela*

Dziadkowie Olszewscy mieli cztery córki: Zosię, Kazimierę (moją matkę, urodzoną w 1882 roku), Helenę i najmłodszą Bronisławę (urodzoną w 1890 roku). Oraz dwóch synów: Wacława i Zygmunta.

Dziećmi opiekowała się starsza pani Maria, daleka krewna. Córki kształciły się na pensji w Jampolu, u pani Marii Kociubskiej, przede wszystkim jak prowadzić dom, a moja mama zasłynęła z wypiekania przepysznych mazurków i bab wielkanocnych. Edukację tę przerwała śmierć dziadka, który wedle jednej wersji zmarł młodo na serce, wedle drugiej - został postrzelony na polowaniu.

**B**abcie Felę czekało wiele zmian. Siedemnastoletnia Zosia wyszła za mąż za pracującego w cukrowni Jakuba Krzyżanowskiego, a za drugiego pracownika ojca Feliksa Ketlińskiego wyszła Hela.

Za to moja mama Kazia poślubiła Edmunda Rabczewskiego i przeniosła się na Łysą Górę. Zamożny Edmund odesłał wyprawę panieńską, a potem mocno babcię wspomagał. Wziął do siebie piętnastoletniego Wacława, brata mamy, istne utrapienie. Chłopak nie uczył się, wagarował. Na gospodarstwie dokazywał, coś przeskrobał - bodaj w nocy wypuścił z chlewa świnie. Chłop pochwycił go, zbił i przyprowadził do mego ojca. Ależ był wstyd, jakież dyshonor!

**N**ajstarszy zięć mojej babci Jakub Krzyżanowski - aby nie iść do wojska na siedem lat - uciekł do Ameryki. Wpierw ściągnął do siebie, do Milwaukee, żonę Zosię, a potem, w pierwszych latach XX wieku, prawie całą rodzinę.

Babcia Fela wywiozła do Ameryki ponoć pół worka złota, bo w Polsce wszystko posprzedawała. Wyjeżdżała z czwórką dzieci; zięć Feliks Ketliński dołączył do nich w Hamburgu, prawdopodobnie dezercerując z wojska. Jego podróż finansował mój ojciec. Feliksowi i Helenie urodzili się synowie: Hieronim i Tadeusz. W Nowym Jorku zamieszkała też siostra babci Feli, Lorentowicz po mężu, bogatym właścicielu fabryki koncernu Forda. Mówiło się o domu z windą, wspaniałym ogrodzie, beczkach wina... Ich najstarszy syn Henryk ożenił się z Angielką, ale to małżeństwo nie trwało długo. Drugi syn Jan, jeżdżący zbyt szybko, zginął w wypadku samochodowym. Piękna córka Helena wyszła za Anglika, który okazał się jednak Niemcem... Rodzice pobudowali im willę nad morzem, a potem ubolewali w listach, że wnukowie, co przyszli na świat z tego związku: Robert, Otto, Willy i Franz, nie będą już Polakami.



*Amerykańskie marzenia*

Ciocia Bronisława wyszła za mąż w 1911 roku w Milwaukee - za Bolesława Rzeszotarskiego, "kontraktora" budowlanego, pochodzącego z Przeradza Małego w okolicy Żuromina. Bolesław, rówieśnik mojej matki, opuścił kraj parę lat przed wujkiem Krzyżanowskim, aby również uniknąć wojska. Ciocia Bronia urodziła jedno dziecko, córeczkę, która zmarła jednak w wieku dwóch lat.



*Bronisława i Bolesław Rzeszotarscy z dzieckiem*

## Safran i Katia

Tylko moja mama została w Łysej Górze. W dworku dziadków Rabczewskich - skromnie podmurowanym, o dużych oknach i werandzie, otoczonym ogrodem z rajskimi jabłuszkami, dyniami i arbuzami, wodą i dębowymi lasami z niezliczonym ptactwem i zwierzyną, na którą urządzano staropolskie polowania - panował ład i porządek. Przestrzegano godzin podawania posiłków. Przy stole siadało kilkanaście osób: stary stryj rezydent, jakaś przybrana ciocia, często wpadał przyjaciel domu, ksiądz Wolski, który mnie ochrzcił. Po obiedzie, w altance z żółtej akacji, grano w preferansa - w najpopularniejszą grę owych czasów. Na werandzie mama, już pani domu, otoczona pomocnicami, smażyła konfitury.

Wokół ojca kręcił się piętnastoletni pacholek Safran, garbaty, niezwykle oddany, tak bardzo, że bez jego obecności ojciec czuł się źle. "Panicze radzi?" - pytał nas, dzieci. Kochaliśmy go wszyscy. Siadaliśmy gęsiego na jakimś drągu, a on zaprzęgał do niego kucyka, by ciągnął. Skubnęliśmy go za garb nie raz, choć ojciec gniewał się srodze za takie zachowanie i karmił. Safran jeździł też chętnie do Jampola po uwielbianą przez nas chałwę.

**M**ieliśmy w domu nauczyciela, który przysposabiał braci do gimnazjum, i niańkę Katię, ładną Ukrainkę, mówiącą po polsku - na co szczególny nacisk kładli rodzice - ubraną w białą, haftowaną koszulę i długą, szeroką spódnicę. Ach, cóż to była za radość, bawiąc się w "chowanego", ukryć się pod spódnicą Katii (a ona nie nosiła majtek).

Katia przeżywała z nami wszystkie szczęścia i smutki. *"Nie razlublu i nie zabudu/ Kudab sudba uniesła/ I wieczno, wieczno pomnut budu/ Szto ty padruga mnie była"*. Katia - zawsze rozśpiewana i zadowolona. Niedzielne popołudnia spędzała z dziewczętami na łódce wśród tataraku i kaczeńców, melodyjnie śpiewając głosem pełnym ukraińskiego czaru: *"Czeres riczeńku/ Czeres bystruju/ Podaj ruczeńku/ Podaj druguju"*.

W domu stał fortepian, ale niewiele z niego korzystaliśmy, gnani przez naturę w pola i lasy, na łódkę, a zimą szalejąc na łyżwach.

## Brązowe mundurki

Czerkasy... Nie wiem, pozostanie to tajemnicą, co ojca związało z odległymi Czerkasami, ale czuję, że jakieś sprawy ojczyźniane.

Bracia pozdawali egzaminy do czerkaskiego męskiego gimnazjum im. Szelechowa. Ojciec umieścił ich tam na stacji, w domu u państwa Brzezickich, zacnych, pełnych patriotyzmu, z synami: Kołą z siódmej klasy, trzecioklasistą Wackiem i Bolkiem, najmłodszym.

Rozpoczęłam i ja naukę w "Czerkaskiej Żeńskiej Gimnazji". Byłam jedyną Polką wśród rosyjskiej młodzieży - porywającej, serdecznej, pięknej. Nie czułam się obca. Nosiliśmy brązowe mundurki, czarne fartuszki z białymi kołnierzykami i mankietami. W niedzielę, kiedy udawaliśmy się do cerkwi, wkładaliśmy białe fartuszki. Szliśmy parami z gmachu gimnazjum bez względu na narodowość czy wyznanie. Nim pop otworzył złotą bramę, śpiewaliśmy "Boże, Caria chrań!"... Grono profesorskie składało się z godnych szacunku ludzi. Dyrektorka Ina Jurjewna, sprawiedliwa, wyrozumiała, kochająca dzieci, powiedziała mojemu ojcu: "Jest dobrą uczennicą, ale łobuz!" - po tym, jak wpadłam na nią, goniąc po ogromnej auli szkoły. Profesor muzyki, starszerek Odincow, brał skrzypce i grając nam przy uchu, kazał śpiewać. Francuzica wspaniale ubrana, szeleszcząca taftą, z wysokim kokiem, wzbudzała respekt. Jej krynolinę słyszeliśmy, zanim weszła do klasy - i krzyczeliśmy: "Bonżur, madam". Machała ręką i mówiła: "Asio-ro".

## Rewolucja

W "Carskim Siole" nie było już cara. Trocki, Kiereński, jakiś Kołczak, generał Dieniekin, Lenin. Gdzieś coś się paliło, huczało. Byłam w trzeciej klasie, nie rozumiałam, kto z kim i za co się bije. Samozwańcze grupy rewolucyjne napadały i rabowały.

Ostrzelali i nasz dom. Chora mama prosiła, by darowano nam życie. "Ty, burżujko!" - krzyczał jakiś młokos i uderzył mamę kolbą. Wierna Katia nie



odstępowała nas, mimo że buntowali ją: "Jeszcze służysz tym panom?". Komisarze rewolucyjni poustawiali w szereg kapelusze mamy i narobili do nich ... wszystkie... ekstrementy... Wskutek wydarzeń mama dostała ataku paraliżu, przez miesiąc nic nie mówiła.

Wyrzucono nas - polską "burżujską" młodzież - z gimnazjum. Przykro było patrzeć na kolegów, idących do szkoły. Ale po paru miesiącach zamknięto wszystkie szkoły na długo. Moje gimnazjum zostało doszczętnie spalone.

Rodzice mieli daczę w Czerkasach, nad Dnieprem. Zatrzymywali się tam w lecie albo przy okazji załatwiania jakiś spraw. W 1919 roku mój trzynastoletni brat Czesław poszedł z kolegami kąpać się w rzece i utopił się. Mama odchodziła od zmysłów. Czesława pochowano z honorami uczniowskimi, w obecności zacnego grona nauczycieli, na czerkaskim cmentarzu. Mama, za opinią lekarzy, chciała wracać do Łysej Góry, ale ojciec zdecydował i zamieszkali w Czerkasach, blisko grobu Czesia. Daczę sprzedali. W Łysej Górze pozostał stryj Waclaw.

**P**amiętam z tego czasu ruch wojsk w mieście, paraliż tramwajów. I zakrytą kibitkę, która podjechała pod nasz dom. Siedziało w niej kilka osób, w tym pan Brzezicki ze stacji. Ojciec nie płakał, żegnając się z nami. Powiedział tylko tak: "Pamiętajcie, jesteście Polakami". Katię prosił, by nie zostawiała mamy. Pocieszał nas, że wróci.

Potem dostaliśmy list z Irkucka, że żyje, czeka lepszego jutra, mieszka w lepiance z błota, że 60 stopni mrozu, głód, ale nadziei nie traci.

Nie wrócił. Jeszcze przed śmiercią pisał entuzjastycznie o dzikiej przyrodzie syberyjskiej, bogatej w ryby i zwierzynę. Zaziębił się. O śmierci ojca napisał nam pan Brzezicki w 1921 roku.

Moja mama, coraz mocniej sparaliżowana wskutek przeżyć, tragedii syna i męża, zaczęła tracić wzrok, aż po paru latach przestała widzieć zupełnie. Opiekowałam się nią do jej śmierci w 1970 roku. Ale nie chcę tego wspominać.

## Z Bolszewii

Piłsudski w Kijowie, a potem jakiś szal ogarnął Polaków. Zawisły odezwy, że kto ma rodzinę w Polsce, może wracać do kraju. W naszym domu łyzy i nadzieja, słowem - gorączka. Ale potrzebne było zaproszenie rodziny z Polski, z zagwarantowaniem bytu w Ojczyźnie.

Mama nie mogła znaleźć żadnego adresu, żadnej rodziny... Napisała więc do Ameryki, do brata Waclawa. O dziwo szybko nadeszła odpowiedź, że najmłodsza siostra mamy, Bronisława, w 1921 roku wyjechała z mężem z Ameryki do Polski na stałe. Wuj Waclaw napisał też sam do Polski, do cioci Broni. Nadeszły od niej listy pełne najgorętszych uczuć. Wysłano nam pieniądze, ale przepadły po drodze. Wreszcie dotarło i oficjalne zaproszenie z Polski. Mój brat Leopold musiał pojechać z tym zaproszeniem do Moskwy, by je potwierdzić i dostać paszport na trzy osoby. Odwiedzały nas całe pielgrzymki Polaków. Z zazdrością pytali, jak załatwiliśmy wyjazd, żalowali, że zostają.

Katia płakała: "Pani, zabierzcie mnie z sobą, bo umrę". Nie była Polką, nie była z nami spokrewniona, nie mogła z nami jechać. Brat mój Leopold strasznie przeżył to rozstanie; płakaliśmy i całowaliśmy jej ręce za trud i miłość dla nas.

Opuściliśmy Czerkasy w 1922 roku. Jechaliśmy przez Kijów, przez przepiękne miasto z *Kreszczatikiem* na czele. Wszędzie wielu repatriantów; jakże maluczcy przemieszczaaliśmy się na tle bogatej architektury. Aż znaleźliśmy się w Szepetówce, przy granicy. I stop! Nie wiem, o co chodziło, czy o brak transportu, czy o jakieś formalności. Stanęliśmy na długie trzy miesiące z resztkami pieniędzy.

Brat Leopold ruszył w miasto, zresztą śliczne, z rzeczkami, parkiem, pałacem księżąt Sanguszków, i spotkał dobrą duszę. Kobieta zaoferowała pokój z osobnym wejściem. Wieczorem, po rozpakowaniu, kiedy wszedł do nas gospodarz z długą brodą, krzyżem na piersi, w sutannie, dowiedzieliśmy się, że zamieszkaliśmy u popa.

Odnieśliśmy najmiłsze wrażenie. Pop Wasiljew z żoną wychowywali dwóch synów i dwie córki w moim wieku: Wiera miała trzynaście lat, najstarszy syn

Iwan, bardzo przystojny, pracował w banku, syn Piotr ożenił się z Polką Stanisławą i pracował w tartaku.

Był to dom, do którego schodziła się szepetowska inteligencja, też artyści miejscowego teatru, i Polacy. Często zapraszano nas do stołu, przy którym popłiewał ciągle wesół, a goście prawili o wysokiej kulturze Polaków i urodzie Polek, szczególnie warszawianek.

Zapamiętałam wielką gošcinnošć, serdecznošć i ostatnią kolację, żegnającą nas przed wyjazdem. Byli artyšci, a nasz "batuszka" w najczulszych słowach krešlił nasze rozstanie. Snuł przed mamą projekty naszego pozostania, oženku swego syna Iwana ze mną, może teź jego córki Wiery z Leopoldem. Przyrzeklišmy pisać z Polski. I Leopold zaraz napisał list, dziekując za pomoc i serce. Otrzymališmy odpowiedź od jednego z synów. Pisał o wspaniale odradzającym się Kraju Rad pod przewodnictwem Lenina, państwie z kwitującym teatrem, kinematografią, bez gnębieli ludu...

## W srebrnej zastawie

**W**reszcie w Polsce. Znaleźlišmy się w ramionach najbliźszych osób: cioci Broni, wujaszka Bolka Rzeszotarskiego na ich osiemdziesięciomorgowej gospodarce w Podgórzcu pod Brodnicą. Poczulišmy się jak zmartwychwstali na wolnej ziemi polskiej. Zmartwychwstali i biedni.

Przyjechališmy z bratem w mundurkach gimnazjalnych. Wówczas miałam piękny warkocz z kokardą, kożuszek haftowany i mamę, wierzącą w szczęśliwe życie w Polsce. Ponoć zawojowałam od razu serca wujostwa i sąsiadów. Ciągle śpiewałam, śmiałam się. Pokochałam dom wujostwa ze ślicznymi mebelkami, dywanami, z masą kwiatów i ciepłem rodzinnym. A brat Leopold oglądał morgi wujka z licznym inwentarzem, z różnymi maszynami rolniczymi, żniwiarką, sieczkarką itp., z "pańską" bryczką i kucykiem dla dzieci.

Było to gospodarstwo w amerykańskim stylu, głównie dzieki cioci, wychowanej w Ameryce: czyste, kulturalne, ze służbą, otwarte na nowinki rolnicze - murowane, z sześcioma krowami, trzema koźmi - z panią domu z

puklem kruczoczarnych loków na czole, podającą obiad w srebrnej zastawie. Wujaszek, przygnany tęsknotą za Polską, odkupił go za trzy tysiące dolarów od jakiegoś Niemca, który wyjeżdżał do Niemiec na mocy międzypaństwowego porozumienia.

Wujaszek opowiadał o Milwaukee. Powodziło się mu tam świetnie, był przedsiębiorczy, wybudował willę, jeździł fordem. Z ciocią wybierali się za miasto na wycieczki, łowili ryby i smażyli placki kartoflane na łonie natury. Utrzymywali kontakty rodzinne. Wujaszek, jeszcze jako kawaler, działał w patriotycznej organizacji Młodzież Polska. Był zwolennikiem demokratów, zaś wujaszek Waclaw - republikanów. Jako szwagrowie kochali się, ale dochodziło między nimi często do utarczek politycznych.

Po dwudziestu pięciu latach w USA - wujaszek Bolesław sprzedał wszystko: dom, samochód, jakieś drogie skórzane meble... Zatrzymał się z ciocią Bronią na dwa tygodnie w Nowym Jorku, u siostry mojej babci Olszewskiej - ciotki i wuja Lorentowiczów - po czym elegancko, w pierwszej klasie, przyplłynął z Bronią statkiem do Polski. W Gdańsku ukląkł i ucałował ziemię ojczystą.

Czekał na nich brat wujaszka Henryk z żoną i kolegą lat szkolnych z Mławy. A ciocia Bronia, widząc robotnika portowego, jedzącego owinięte w gazetę placki - a nie w pergamin jak w Ameryce - nie mogła ukryć rozczarowania. Osiedli na miesiąc u rodziny wujka w Przeradzu Małym. Rozglądali się za ziemią, po czym zdecydowali się na Podgórz.

Dla "amerykańskiej" cioci, która jeszcze po roku pobytu "na Macierzy" chciała wracać do Stanów, wszystko długo wyglądało w Polsce okropnie..., choć elegancki, przystojny wujaszek wciąż nosił się po miejsku, a latem na biało, z amerykańską. Aż przywykła do ziemi, przyzwyczała się, nauczyła się wszystkiego i w domu, i w zagrodzie. Stała się świetną gospodynią.

## Nauka i praca

Co zrobić z nami - dziećmi? Z pomocą wujostwu pośpieszył proboszcz Bielicki. Przyjęło mnie do czwartej klasy Gimnazjum Żeńskie w Brodnicy, a brat znalazł się w szóstej klasie gimnazjum męskiego. Prefektem i wykładowcą religii był ks. Wagner, dyrektorem prof. Keller - wspaniali ludzie, liczyli sobie za zaszczyt opiekowanie się takimi uczniami jak my, z innego świata. Nawet

miejszcowa "Gazeta Michałowska" poświęciła cały artykuł naszemu powrotowi z "bolszewickiego rajku".

Chwytałam "pały" z łaciny. Ale literatura romantyczna czarowała. Po dziś dzień wisi u mnie portret Mickiewicza. To mój symbol nadziei. Z trudem czytałam Słowackiego, ale sam Puszkina pisał, że go nie rozumie. Nauczyciele przepowiadali mi omalże "literacką przyszłość", cóż, państwo polskie zostawiło mamę z dziećmi bez opieki, składając nas tylko na karb rodziny.

Po gimnazjum ciocia Bronia umieściła mnie w Szkole Gospodarczej w Chyliczkach pod Warszawą. "Chyliczanki" wywodziły się z rodzin ziemiańskich zwykle i uczyły na panie domu. Przydatne w gospodarstwie nauki trwały trzy lata, ja pobierałam je półtora roku.

**M**usiałam na siebie pracować. Zgłosiłam się na pocztę. Naczelnik kazał złożyć podanie i czekać. Na odchodnym powiedział: "Kto swoje dziecko chce ukarać, niech go da na pocztę". Panowało bezrobocie, więc gdy po pół roku dostałam pracę, radości nie było granic.

Widziałam strajk w Wąbrzeźnie: na placu, otoczonym wałem ziemi, gdzie stały niegdyś szopy dla koni arabskich hrabiego Dębskiego, robotnicy podjęli głódówkę. Po kilku dniach przybył wojewoda z Torunia i starosta Wąbrzeźna. W nocy 17 pułk ułanów z Grudziądza rozpedził strajkujących... A w Brodnicy wojsko było ozdobą: 67 pułk piechoty i jego wspaniała orkiestra, która koncertowała po całej Polsce, najczęściej na Wybrzeżu.

Mój brat Leopold - z pięknym charakterem pisma, wyniesionym z rosyjskiego gimnazjum - dzięki koneksjom generalskim w rodzinie Olszewskich - jako syn zesłańca znalazł zatrudnienie w intendencji wojskowej w Poznaniu. Tamże zdał eksternistycznie maturę i studia ekonomiczne. - Czy pan uczył się w rosyjskim gimnazjum? - zapytał go jeden z egzaminatorów. Brat potwierdził. - Poznałem od razu, bo tylko tam uczą tak pięknej kaligrafii.

No i tak: życie brata układało się w kawalerskim pokoiku, wśród legionowego bractwa - wiernych żołnierzy Piłsudskiego. Leopold - towarzyski, elegancki, świetnie tańczący, innymi słowy ulubieniec żon oficerów - jeździł po

kraju i skupował zboże dla wojska. Zakochał się bez pamięci w koleżance ze studiów Jadzi. Przywiózł ją do Podgórze, ale cóż, dziewczyna była młoda i piękna, nie dochowała bratu wierności.

## Kawalerowie uczuć

Miałam i ja swoje lata miłości. Matka i wujostwo wybrali dla mnie kawalera - Teodora, syna przyjaciół domu, bardzo przystojnego nauczyciela. Teodor ślicznie się ubierał, polował z psem, mieszkał z matką i siostrą z jej mężem w Grudziądzu. Pasowaliśmy do siebie fizycznie, mniej duchowo, bo ja byłam żywa jak strzyga, wiecznie rozgadana, absorbująca, otwarta na ludzi, a on... traktował mnie siostrzanie, przez trzy lata rozmawiał o przyrodzie, polowaniach, interesach... W końcu założył fabryczkę obuwia gumowego w Grudziądzu, zdążył splajtować i wrócić do nauczycielstwa.

Odwiedzając brata w Poznaniu, poznałam miłego porucznika, Janka, wesołego, a jakże, wypisz-wymaluj mego usposobienia. Odwiedzał mnie potem w Podgórzu, ale rodzina buntowała się, była przeciw, bo pachniał nędzą. Chcieli Teosia.

**K**ochałam wujostwo. Mniej serdecznie zaczęłam odpowiadać na listy porucznika. "Miro, co się stało? - pisał on - co wpłynęło na zmianę Twych uczuć? Pomyśl, cierpię. Byłem jednym z tych, co szli w bój z bolszewikami za Twoje ziemie, za takie jak Ty kresowianki, noszące w sercach tyle sentymentu narodowego, ile inni odwagi wojennej. Ja Was kocham i Mamę Twoją szanowną, i Leopolda. A Ty to mój świat. Jakże nie kochać ludzi cierpień, co przeżyli piekło na ziemi".

Mocno przeżywałam te listy, płakałam. Pisaliśmy do siebie jeszcze, ale czas uciekał, czas zrobił swoje. Zwróciłam się ku temu, kto był blisko.

Pracował ze mną Edward Kompiński, starszy asystent pocztowy. Pomagał w pracy. Starszy ode mnie o dwa lata, zdolny, pracowity, szanujący mnie. Zaprzyjaźniliśmy się. Na wieczorku pocztowym wyznał, że kocha i chce się ze

mną ożenić.

Pochodził z Żuromina, wtedy gminnego, czyli z tego samego rejonu kraju, co wujek Rzeszotarski. Rodzice: Ludwika i Antoni mieli kawałek ziemi, ojciec sprawował funkcję wójta. Edward urodził się jako ich piąte dziecko, po nim przyszła na świat jeszcze Leokadia, która w wieku szesnastu lat wyjechała do Ameryki. Najstarszy brat Bolek był organistą w kościele, a jego syn Kazik został pilotem wojskowym i dosłużył w Warszawie stopnia pułkownika. Drugi brat Ludwik umarł młodo. Brat Adam został na gospodarstwie. Kolejny brat Janek awansował na stanowisko naczelnika poczty w Złocieńcu. Edward, po skończeniu sześciu klas w Mławie, dostał posadę na poczcie w Brodnicy, bo syn siostry jego matki, czyli cioci - kuzyn Kornowski - był naczelnikiem tej poczty.

I właśnie wtedy poprosił mamę o moją rękę - Teoś. Mama odpowiedziała: "Cieszę się. Nic przeciw nie mam. Wierzę, że będziecie szczęśliwi i błogosławię was". Usiadłam z Teosiem w ogródku, zbliżała się północ. Męczyłam się, jak powiedzieć, że kocham innego. Zdobyłam się wreszcie na odwagę: - Panie Teodorze - zaczęłam - czy pan kochał kogoś w życiu? - Tylko panią!

Zdrętwiałam. Oczekiwałam innej, bardziej ogólnej odpowiedzi. Co ja takiego zrobiłam? Wyciągnęłam zwierzenie, które zabołi... Ale było za późno. Przeprosiłam za swoją niewdzięczność i postanowienie. - Serce nie sługa. Na pewno zrozumie mnie pan, panie Teodorze.

Cóż, Teoś sam sobie winien, nie powiedział w porę, to co Edward, choć pisał: "Najdroższy mój Mirek". Bał się? Taki nieśmiały?

## Dzień Morza

Nie miałam odwagi powiedzieć w domu, że wybrałam Edwarda i że szykowaliśmy się już do ślubu. Rodzinie marzył się przecież Teoś, a nie kawaler na skromnej, urzędniczej posadzie.

Pocztowcy wybierali się akurat na wycieczkę do Gdyni na Dzień Morza. Poprosiłam wujaszka Rzeszotarskiego, by z nami pojechał. Ucieszył się, nie przeczuwając, że - po drodze, przez zaskoczenie, w kościele NMP w Grudziądzu - będzie świadkiem naszego ślubu. Drugim świadkiem był brat



pana młodego. Towarzyszyli koledzy - pocztowcy. Wujaszek tak się wystraszył, że bał się później wracać z nami do domu... Nie ominęła nas awantura. Wujaszek siedział cichutko jak trusia i szeptał: "Oj, Miro, Miro, co my narobiliśmy". Mama i ciocia oznajmiły, że nam, młodym, nie pomogą.

A Teoś i cała jego rodzina Duczkowskich przesłali nam bardzo kulturalne życzenia szczęścia. Jakiś czas później dowiedziałam się od szwagra Teosia, że mój ślub wywołał trzęsienie ziemi w ich domu. Sumienie miałam czyste, bo słowa nie dawałam.

**R**ozpoczęłam nową erę w życiu. Mąż znalazł mieszkanie w domku przemiłych państwa Garstków w Brodnicy. Przyłgnęliśmy do siebie lepiej niż w rodzinie. W 1933 roku przyszła na świat jedyna córeczka Anna. Z krzykiem, śliczna, o dużych oczach. "Nauczycielką będzie, bo krzyczy" - przepowiadano. I faktycznie tak się stało.

Pracowaliśmy. Pensje pocztowe małe. Nie mieliśmy czasu myśleć o gniewie wujostwa. Toteż niespodzianka wydarzyła się nie lada, kiedy stolarz przywiózł nam pierwsze meble: pokój sypialny i jadalny - dar wujostwa. Ale nadal nie odwiedzali nas. Ani ciocia, ani mama nie przyjechała na chrzest córeczki Anny. Tylko wujaszek z prezentami, kwiatami... Musiał minąć rok zanim wstąpiła do nas ciocia, zanim pękły lody, zanim zaczęliśmy bywać u wujostwa w Podgórzu.

W 1935 roku mąż został przeniesiony z awansem na zastępcę naczelnika poczty do Wąbrzeźna. Otrzymaliśmy śliczne, trzypokojowe mieszkanie. Blisko trzy cudowne jeziora, ruiny zamku, piękna plaża. Pływaliśmy po jeziorze zamkowym biało-niebieskimi, pocztowymi kajakami. Oto najmiłsza sportowa rekreacja w moim życiu. Pewna kajakowa eskapada z trzyletnią córką mogła skończyć się źle. Na jednym z jezior przyłapała mnie burza, fale wyrywały wiosła. Drżąc, udało mi się schować w trzcinach. A potem chwyciłam córkę i pobiegłam do domu. Dopiero po jakimś czasie powiedziałam mężowi o tej dramatycznej przygodzie.



## Trupie główki

**W**ojna. Męża zmobilizowano. 10 września 1939 roku wojska niemieckie wkroczyły do Wąbrzeźna. Aresztowania; całe grono profesorskie wywieziono z gimnazjum, a starostę zastrzelono w gmachu starostwa. Trudno było ukryć się, bo bojówki miejscowych Niemców tropiły Polaków. Rozeszła się pogłoska, z pewnością sprokurowana przez Niemców, żeby uciekać, że mordowane są polskie dzieci, że wykluwa się im oczy i wycina języki. W kilka godzin to dwudziestotysięczne miasto opustoszało w panice.

Pojechałam z córką do mamy i wujostwa do Podgórza, dziś o krok od Brodnicy, zostawiając w Wąbrzeźnie wszystko. Po co zabierać cokolwiek, mówiłam sobie, nic nie ma znaczenia, kiedy straciło się Ojczyznę. W Brodnicy zobaczyłam również chaos i wywózki Polaków. W katowni pod czarną chorągwią przy ulicy Przykop, w willi sędziego Przyłubskiego - jęki brodniczian w dzień i w noc. Bito tam naszego kolegę Mariana Banaszaka, naczelnika urzędu skarbowego w Brodnicy. Miał wyjawić, gdzie podziały się pieniądze z kasy. Ledwie żywego wypuszczono go po miesiącu z sankcją aresztu domowego. Przed wyjściem dobroduszny Marian spytał żołdaka z trupa główką, czy może wychodzić z dzieckiem na spacer. Opowiedział nam o tym inny więzień, świadek tej rozmowy.



*Podgórz: od lewej państwo Banaszakowie i ja*

Pracowaliśmy na gospodarstwie wujostwa. O mężu nic nie wiedziałam. Rozpamiętywaliśmy losy znajomych, wysyłaliśmy paczki do Generalnej Guberni. Sąsiednich gospodarzy wywożono, a na ich miejsce osadzano Niemców. Wujaszka, obywatela amerykańskiego, nie ruszano.



*Podgórz: od lewej mama (w głębi) i ja*

Dopiero kwietniowej nocy 1941 roku nadszedł koszmar. Podgórz oświetliły reflektory. Czarni z trupimi główkami wpadali do domów. Zerwaliśmy się przerażeni, stanęliśmy w szeregu. Esesman wyjął listę, na której widniał tylko wujaszek Bolesław Rzeszotarski. Ze wsi dochodziły strzały, pewnie młodzi uciekali w pole.

Rozpłakaliśmy się, zaczęliśmy niby coś pakować dla wujaszka, ale wszystko leciało z rąk. Nam też, to znaczy cioci, mamie, mnie z córką, rozkazano opuścić

dom i wynosić się z rana do jakiegoś mieszkania. Na gospodarstwie mieli osiąść Niemcy, przesiedleńcy z Besarabii. Do pomocy zostawała im tylko młodziutka służąca. Dziewczyna ryczała, przerażona "Arabami" ... - Co płaczesz, głupia, nie zeżrą cię - żartował esesman.

Podeszłam do niego, poprosiłam – gestykując - by cioci pozwolili też zostać. Ciocia odezwała się: - Miro, nie prosź, bo ja i tak pojedę z Bolkiem wszędzie, nie zostawię go. - I owinięta w piękną chustę amerykańską, z tłumoczką, z własnej woli wsiadła razem z wujaszkiem do samochodu ciężarowego. Dziś, z perspektywy czasu patrzę, jakież to było pełne godności małżeństwo.

**H**itlerowcy osadzili wujka z ciocią w obozie przesiedleńczym w Potulicach koło Nakła nad Notecią, w obozie głodu i chorób, dziesiątkujących szczególnie dzieci. Oto w co Niemcy zmienili przepiękny majątek hrabiny Potulickiej.

Tymczasem my dostaliśmy pokój u jednego z gospodarzy. Zaczęłam jeździć co dwa tygodnie do wujostwa z paczkami. Krzyczeliśmy do siebie przez pięć przeciągniętych drutów, niewiele słysząc w tłumie krzyczących.

Odnalazł się mój mąż. Zmaltretowany, chory. "Przykucnął" w swoich rodzinnych stronach w Żurominie. Był przerażony tym, co działo się tam z Żydami, opowiadał, że Polacy przekopali cały Żuromin w poszukiwaniu pożydowskiego złota.

Zabrał nas ze sobą. Sprowadziliśmy się do wsi Siemcichy, dziesięć kilometrów od Żuromina. Duży gospodarz Krzywkowski udostępnił nam pokój z osobnym wejściem w swoim nowym, obszernym domu. Mąż zaczął uczyć jego dzieci: córki Adelę i Wikcię, syna Adasia. Potem doszły inne dzieci. W ten sposób mąż, z pomocą studenta z Gdańska Piórkowskiego, rozpoczął tajne nauczanie - prowadził szkołę dla dwudziestu pięciu uczniów. Gospodarz Krzywkowski czuwał w czasie lekcji. Raz o mało nie wpadli, mimo iż zdążyli ukryć książki w koszu. Skończyło się na kilku razach pałką za czytanie.

Po wojnie jeden z uczniów został I sekretarzem PZPR w Złocięncu i dziękował mężowi za naukę, tytułował profesorem i ofiarowywał pomoc.

Krzywkowscy i gmina podziękowali na piśmie za nauczanie w ciężkich czasach okupacji. Ale mąż nie chciał czerpać profitów ze swojej okupacyjnej działalności, nie obnosił się z zasługami. Dopiero po jego śmierci uzyskałam świadczenia kombatanckie dla siebie (po mężu).

## Chylę czoła

Odwiedzałam wujostwo w obozie tak często, jak mogłam. Przewoziłam wałówki, ale również konspiracyjne meldunki dla podziemia. Moje podróże z Kongresówki na Pomorze (do Rzeszy) były zrozumiałe i oczywiste, ze stałą przepustką. W Brodnicy znano mnie od lat szkolnych. Zatrzymywałam się tam u kolegi gimnazjalnego Cybulskiego, pracującego w gminie.

Pewnego razu, przy okazji grupowego nadśłuchiwania radia, poznałam koleżankę męża i państwa Banaszaków - Władysławę Zieleniecką. Zaczęłyśmy rozmawiać. Opowiedziałam o wujostwie, o obozie. Pani ta - przemiła, piękna, urodzona na Pomorzu, świetnie mówiąca po niemiecku - pracowała w jakiejś niemieckiej instytucji. Obiecała pomoc. W krótkim czasie zebrała wszystkie niezbędne dokumenty, po czym napisała w sprawie wujostwa wprost do Berlina. Po niecałym miesiącu przyszła odpowiedź: natychmiastowe zwolnienie! Pani Zieleniecka powiadomiła mnie o tym, zachwycona decyzją Niemców.

Ze wszystkimi papierami i przepustką na całodzienny pobyt w obozie pojechałam do Potulic. Dokumenty podałam w kancelarii obozowej. Kazano mi czekać na dziedzińcu. Więc czekałam. Czekałam od szóstej rano do piątej wieczorem. Ciężko mi było, nie znałam języka niemieckiego, nie umiałam zapytać o nic konkretnego. Jak te nerwy wytrzymały... Widziałam bicie biczem chłopców, pchających wózek ze żwirem, kopanie więźnia, pewnie szewca, za złą naprawę butów, gnanie kobiet do lasu po drzewo...

**K**ompletnie wyczerpana całodziennym wałęsaniem się po obozie, zrezygnowana, pomyślałam, że przenocuję gdzieś i wrócę rano. Do miasteczka Nakło, przy którym znajdował się obóz, droga szła przez park. Stała tam figura

Matki Bożej. Uklękałam i zwyczajem przodków modliłam się, prosząc Bogurodnicę o wsparcie. Usłyszałam, że ktoś jedzie na rowerze. Przyjrzałam się: mundur, chyba oficer niemiecki, pomyślałam. Podbiegłam i uczepliłam się ramy jego roweru. Krzyczałam w pierw coś po niemiecku, ale głównie po polsku. Że tak i tak. Zatrzymał się, wysłuchał i kazał mi iść za sobą.

Po dwudziestu minutach zobaczyłam przez kratę bramy wujaszka. Mizernego, zarośniętego. Stał wyprężony na baczność przed jakimś wachmanem. Po chwili wysunęła się ciocia, z tłumoczką, bidulka taka. Coś im tam machano rękami, wreszcie wskazano bramę. Jeszcze ostatnie sprawdzenie dokumentów. Mundurowy z roweru wyjaśnił mi po niemiecku, a potem po polsku, że to brzmienie nazwiska Rzeszotarski sprawiło kłopot.

Kiedy wujostwo wyszli z bramy, poszliśmy przez park, noga za nogą, aż natrafiliśmy na ogromny wóz folwarczny. Jakimś cudem wdrapaliśmy się na niego i dojechaliśmy do Nakła, do pociągu.

Na dworcu w Brodnicy czekali na nas znajomi i przyjaciele. Wujostwo wzbudzali litość i ból swoim wyglądem. Każdy chciał coś ofiarować, zabrać ich do siebie. Ale my po paru dniach byliśmy już wszyscy razem w Siemcicach. Właścicielka gospodarstwa nasmażyła pysznych kotletów, przyniosła owoce, ludzie ze wsi też przychodzili, popatrzeć na tych, co ocalili z lagru.

A pani Zieleniecka? Nie chciała podpisać żadnej zniemczającej listy. W dalszym ciągu działała w grupie konspiracyjnej w Brodnicy. Do grupy tej przynależał też pewien lekarz weterynarii. Pewnego razu podpisał sobie w barze "Brodniczanka". Siedzący obok Niemiec wyciągnął od niego tajemnice konspiracji. Wszyscy zginęli: Zieleniecka, dwie studentki, Cybulski, Karbowska, ten lekarz weterynarii też oraz inni, których nazwisk nie pamiętam. Kiedy skatowaną panią Zieleniecką wyprowadzano z pokoju przesłuchań, nawet siostra jej nie poznała. Zdażyła szepnąć: "Ach, jak bardzo cierpię". Dziś, idąc na groby, chylę czoła w cichej modlitwie. Cześć Jej pamięci.

## Powroty

Dom wujostwa przyjaźnił się z domem pani Wasilewskiej - samotnej wdowy z Wilna. Mąż pani Wasilewskiej, inżynier rolnik, wcześniej zmarł, a ona

sprzedała swój majątek ziemski i osiadła na ładnej resztówce w Podgórzu. Dwadzieścia hektarów, pięknie murowany dworek o szesnastu pokojach, wodociąg. Pani Wasilewska, bardzo kulturalna, skończyła w Wilnie Uniwersytet im. Stefana Batorego. W Gimnazjum Żeńskim w Brodnicy bezinteresownie uczyła nas języka polskiego. Wszyscy ją uwielbialiśmy, odwzajemnialiśmy jej miłość do nas. Przyjęła pod swój dach siostrzeńca Jana Orłowskiego i daleką krewną, młodzieńką Zofię Myszkowską. Młodzi pobrali się, a pani Wasilewska, pozostając pod ich opieką, zapisała im cały majątek.



*Podgórz, 1930 r.: pani Wasilewska z Jankiem i Zosią*

Ogromnie byłam przywiązana do tego domu. Kochałam swoją nauczycielkę, która tak dużo pomagała mi w języku polskim, a z Jankiem i Zosią żyliśmy jak rodzeństwo. W tych samych latach wychodziliśmy za mąż, a moja córka Ania i Zosi syn Jan urodzili się w tym samym miesiącu i roku. Nawet zaręczyliśmy nasze pociechy ze sobą, oczywiście na niby.

W czasie wojny pani Wasilewska i Orłowscy zostali wysiedleni do Generalnej Guberni, pod Mińsk Mazowiecki, do wsi Tyborowo. Wrócili, ale już bez pani Wasilewskiej, która tam zmarła. Urodziła im się córka Maria.

Janka los nie oszczędzał w komunizmie, trzymał się ziemi kurczowo, niezapomniany, wypróbowany przyjaciel. Bywaliśmy u siebie po wojnie, pomagaliśmy sobie. Zosia zmarła na raka w wieku czterdziestu dziewięciu lat, Janek zmarł w 1972 roku.

Wspomnę jeszcze o bracie Leopoldzie. Po mobilizacji w 1939 roku nie wiedzieliśmy, co się z nim dzieje. Okazało się, że został ranny pod Tarnowem i



przewieziony do szpitala w Przemyślu. Szczęściem, z uwagi na los oficerów na wschodzie, zdążył dostać się do Krakowa. W Krakowie spotkał wielu kolegów z Poznania. Razem szukali jakiejś pracy. Z pomocą bratu przyszła Jadzia, jego pierwsza miłość z Poznania, którą już jako mężatkę spotkał z jej mężem w krakowskiej kawiarni. I ten mąż Jadzi - Rejman - załatwił bratu pracę w krakowskich zakładach ceramicznych. W ten sposób Leopold ukrył się przed Niemcami, którzy takich jak on wylapywali.

Wysyłał listy do znajomych w Brodnicy z pytaniem o nas. I jeden z takich listów, zaadresowany: "Brodnica - Banaszak", dotarł. Zaczęliśmy pisać do siebie szczęśliwi, że żyjemy. Przysyłał mamie co miesiąc do Siemcich, gdzie mieszkaliśmy - drogą przez Bochnię, przez ludzi, umiających takie sprawy załatwiać - osiemdziesiąt marek. Mocno przeżywał utratę ojczyzny, okrutną okupację i tęsknił za nami.



*Leopold Rabczewski, mój brat*

W pracy poznał koleżankę biurową Irenę, krakowiankę, panienkę też jak on w starszym wieku. Pobrali się, bardzo się szanowali, byli wzorowym małżeństwem. Urodził się im po wojnie syn Andrzej. W ten sposób brat osiadł na stałe w Krakowie, prawie do emerytury pracując na odpowiedzialnym stanowisku kierownika eksploatacji kruszywa. Miał ogromną załogę, około siedemset osób. Odwiedzał mnie i opowiadał o Krakowie z szacunkiem i rezerwą. Smutne, stare domy krakowskie przytłaczały go. Wolał Poznań, gdzie spędził najpiękniejsze dni swojej młodości. Bo Poznań, mówił, taki wesolutki, taki swój, taki nasz. Po ciężkiej chorobie nerek zmarł w roku 1971, w wieku

sześćdziesięciu siedmiu lat.

## Kochanie, podaj mi Inowrocław

Wyzwolenie zastało nas w Siemcichach. Męża chciano zatrzymać tam w szkolnictwie, ale byłych pracowników ściągała też poczta. Wróciliśmy do wujostwa, do Podgórze, a mąż do Poczty Polskiej.

Kiedy dyrektor Urzędu w Gdańsku wydelegował męża do Jabłonowa Pomorskiego na rok - na stanowisko naczelnika urzędu poczty - nie chciałam się zgodzić. Mieszkaliśmy już w Brodnicy, córka zaczęła chodzić tam do liceum. Miałaby dojeżdżać dwadzieścia pięć kilometrów? Mąż upierał się, do tego dyrektor zgodził się na moją pracę w jednym urzędzie z mężem. Stało się: w 1946 roku byliśmy delegowani na rok, pozostaliśmy przez trzydzieści lat.

Szybko przywiązałam się do skromnego, zniszczonego przez okupanta urzędu. Centrala telefoniczna wymagała remontu. Brakowało dalekopisu, więc słuchawek nie zdejmowaliśmy z uszu przez cały dzień. Naszym centralnym urzędem był Toruń. Na Toruń wydawaliśmy telegramy, zlecenia, awiza. Mieliśmy około stu abonentów.

W budynku poczty, stojącej przy węzłowej stacji PKP, otrzymaliśmy duże mieszkanie. Od pociągów drżały okna.



*Budynek poczty; pozostał ślad po balkonie, na którym podlewałam bratki, pelargonie...*



Pracowałam od godziny ósmej do trzynastej albo od dwunastej do dwudziestej. Staralam się być grzeczna, miła. Z koleżankami z innych central współpracowałam serdecznie, bo przecież od nich zależały moje połączenia. Mówiłam do koleżanki z Torunia: "Kochanie, podaj mi prędiutko Inowrocław". "Kochanie" - to na linii słowo telefonistek. Nie widziałyśmy się nigdy, ale prawiłyśmy sobie komplementy, w godzinach wieczornych flirtowałyśmy, umawiałyśmy się na spacer, spotkania w kawiarni.... Czasem kłóciłyśmy się, bo one uważały, że za dużo chcę tych połączeń jak na Jabłonowo. Najwięcej rozmów łączyłam z PGR Piecewo, z Zespołem Rybackim, z Zespołem Podokręgowym Tytoniu, z mleczarnią, ze Zgromadzeniem Sióstr Pasterek i z domem Siostry Generalnej na neogotyckim jabłonowskim Zamku. Były to rozmowy dalekobieżne, tranzytowe. Poczta zarabiała na nich sporo. Ruch wspaniały, a jak jeszcze słyszałam przy okienku: "O, jest ta, ona szybko załatwia" - to czułam się w swoim żywiole.

**C**zas biegł. Wstawałam raniutko, sprzątałam, gotowałam i schodziłam do pracy. Córka - jedynaczka chętnie dojeżdżała pociągiem do liceum w Brodnicy, bo sporo dzieci jeździło. Bałam się przeniesienia do innego urzędu. Bo mąż - mój naczelnik. Mogły wyniknąć z tego jakieś przykrości. Mąż, żeby utrzymać stanowisko, zapisał się do Stronnictwa Demokratycznego.

Z pracownikami żyłam w idealnej komitywie. Pewne sprawy zostawały między nami - urzędnikami i nie docierały do naczelnika. Koledzy ufali mi i czasami skarżyli się na szefa. Mężowi tłumaczyłam, że ma dobrych pracowników. "Już ci się poskarżyli" - mówił wtedy.



*Edward Kompiński, mój mąż*

Ale w pracy jak w pracy. Ktoś krzyczy: "Co, pani tam śpi?". A ja często nie miałam kiedy zjeść kanapkę. Młodsza koleżanka chciała uciekać, kiedy ją ktoś obraził. Potem ten człowiek przyszedł ze skargą, lecz zastał mnie. Pokazałam mu, w jakim piekle pracujemy. Skruszył się, przeprosił koleżankę i przyrzekł, że nigdy więcej nie obrazi telefonistki.

Nasza córka Haneczka, nie mając jeszcze siedemnastu lat, zdała komisyjnie maturę i zaczęła studiować biologię na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Byliśmy dumni. My, rodzice, lata te zapamiętaliśmy najmilej.

Hanka była stanowcza w swoich przedsięwzięciach, nie zważała na rady, i w 1952 roku, na Jasnej Górze w Częstochowie, wyszła za mąż za starszego od siebie o dwanaście lat studenta ostatniego roku biologii - Leopolda Sobolewskiego. Po studiach para młoda zamieszkała w Lęborku. Po dwóch latach przyszedł na świat mój jedyny wnuczek Januszek.



*Ja z wnuczkiem i rodzicami chrzestnymi*

Zięć zdobył też dyplom inżyniera rolnictwa po studiach zaocznych w Olsztynie i pracuje teraz w ośrodku postępu rolniczego. Córka, ucząc biologii w liceum, skończyła dodatkowo pedagogikę na Uniwersytecie Gdańskim. Odnosi sukcesy w pracy pedagogicznej, działa społecznie: jest przewodniczącą Ligi Kobiet w Lęborku i udziela się z sercem na wielu frontach. Poszła śladem ojca, który należał przecież do wszystkich możliwych organizacji w Jabłonowie. Był radnym, odznaczono go krzyżami zasługi i różnymi odznakami społecznymi (żartowałyśmy nieraz z córką: "O, przyszedł Edzio - społecznik").

## Dar

Po remoncie urzędu pocztowego, który miał miejsce w latach sześćdziesiątych, zrobiło się przytulniej, milej. Przybyły nowe segmenty do rozdzielni i ekspedycji, nowa centrala na sto pięćdziesiąt abonentów. Jeździliśmy na wycieczki do teatru, chodziliśmy na zabawy pocztowców. Utrzymywaliśmy serdeczne stosunki z aptekarzami - magistrami Górskimi, często bywaliśmy u państwa doktorostwa Jagasów - weterynarzy. Ufundowaliśmy sztandar pocztowy. Przepięknie wyhaftowały go na Zamku

siostry pasterki, z którymi łączy mnie wieloletnia przyjaźń. Doczekaliśmy 400-lecia Poczty Polskiej. Mój mąż otrzymał książkę okolicznościową w dowód uznania za długoletnią pracę w służbie łączności. Mnie przyznano nagrodę pieniężną. Ileż było w nas radości i dumy, że jesteśmy pocztowcami.



*Wycieczka pocztowców na Dzień Morza do Gdyni; ja z lewej z mężem*



*POLANICA Zdroj 1962 r.*

*Na wczasach w Polanicy Zdroju; ja z lewej*

W niedziele wybieraliśmy się na kilometrowy spacer na Zamek - cudowny zabytek, goszczący króla Batorego, wiele razy prymasa Wyszyńskiego, z parkiem modrzewiowym, dębami, brzoźami. *"Weselna była pora majowa/ Na odpust szedłem do Jabłonowa (Czerniakowa)/ Szły koło matek zgrabne dziewoje/ Szły i za nimi młodzieńców roje"*. Po takim niedzielnym wypoczynku wracałam do domu szczęśliwa, prosząc Boga o dobry dzień i spokojną pracę.

W dni świąteczne także miałam dyżury. Lubiłam je. Cicho, bez napięcia.

Ruch słaby. Od czasu do czasu jakiś telegram, kilka rozmów. Milicja dzwoniła do jednostek nadrzędnych. Ktoś po karetkę. Albo do przyjaciół. Łączyłam rozmowy zagraniczne z USA, ze Sztokholmu, w wielu językach - duża satysfakcja dla telefonistki. Choć mój urząd mały, rozmów zagranicznych zdarzało się dużo. Zawsze w niedzielę z powodu lepszej słyszalności i wolniejszych linii. Wzruszenie matki, słyszącej głos syna z drugiego końca świata, udzielało się też nam, telefonistkom. Nie wiem, być może rzeczywiście miałam dar do tej pracy.

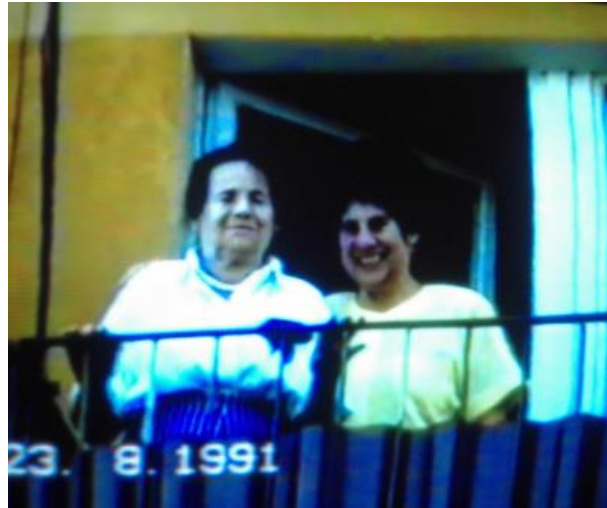
### Razem siedemdziesiąt pięć

Wspominam swoje pożegnanie z kierownictwem poczty i kolegami. Z całego obwodu ktoś był. Dużo róż, jakieś upominki i lzy. Tyle lat w łączności. Podziękowałam za współpracę, za serdeczność i szacunek, jakim mnie otaczali. Pewnie wolałabym ich witać niż żegnać. Potem nie zauważyłam nawet, jak minął mi pierwszy rok na emeryturze.

Przez jakiś czas mieszkaliśmy jeszcze w mieszkaniu pocztowym. Mąż zmarł w 1969 roku na białaczkę w wieku sześćdziesięciu trzech lat. Na pogrzebie wystawiono sztandar pocztowy.

Zostałam z niewidomą, sparaliżowaną mamą. Czekaliśmy na mieszkanie spółdzielcze. Po pół roku i mama umarła w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat. O dziewięć lat przeżyła wujka Bolesława i o cztery ciotkę Bronisławę z Podgórze.

Ostałam się sama na pocztowym metrażu. Po roku odłączono mi służbowy telefon. Zbytek, a musiałam go przecież opłacać.



*Z córką*

Wreszcie doczekałam - nowego mieszkania!

Mam emeryturę i swoje miejsce w Jabłonowie. Pracowałam na to przez te wszystkie lata. Kiedy jeszcze starczało sił, to dorabiałam, ucząc języka rosyjskiego i polskiego dziewczynki znajomych i przyjaciół. Finansowo pomaga mi córka. Mieszka w Lęborku, ale często przyjeżdża.

Dzięki niej zwiedziłam nasz kraj, bo samej nie stać by mnie było na takie wycieczki. Wiele tygodni wakacyjnych spędziłam nad morzem, w Łebie, blisko Lęborka.

Jedyny syn córki co roku, 1 listopada, zapala znicze na grobach mojego męża, matki i wujostwa Rzeszotarskich w Brodnicy. Bardzo to sobie cenię.



*Z wnuczką*

Otaczają mnie zacni sąsiedzi. Daję sobie radę. Jeśli zepsuje się mi kran czy sznur od żelazka, tylko powiem, zaraz sąsiad Karbowniczek bezinteresownie zreperuje.

Jestem wciąż pełna werwy. Bardzo dużo mówię..., ale tak było zawsze, ponoć nie dawałam nigdy nikomu dojść do słowa... Myślę o spotkaniu z komisją lekarską, która wzywa na badania do Grudziądza. Reumatyzm, bolą ręce. Skierowałam prośbę o przyznanie 500 zł zapomogi, bo co to te 1600 zł emerytury... Muszę za pranie zapłacić, za mieszkanie w nowym budownictwie (z piecami, więc trzeba nosić węgiel). "Mąż pracował czterdzieści cztery lata, pani trzydzieści jeden, razem siedemdziesiąt pięć lat w Łączności - oj, należy się pomoc za te lata" - powiedział dyrektor Machowina.

## Sielanka

Teraz może już rzadziej, ale bywało, że codziennie chodziłam po sprawunki, a później na spacer do biblioteki. Zasywałam się w ciepłym, domowym kąciku z książką i czytałam, czytałam bez końca. Pochłaniałam Kochanowskiego, jego błogosławiony język polski, który przynosi otuchę i wiarę w jutro.

Oglądam w telewizji teatry, zachwycam się aktorami. Wspaniali! W moim domu sielanka. Siadam sobie w fotelu i widzę cały świat w TV. To dobrodziejstwo. Śpieszę zawsze, aby zdążyć z robotami domowymi na teatr, dziennik, film..., tylko muszę aparat nastawiać coraz głośniejsze, bo coraz słabiej słyszę. Czasem przyśni mi się, że wołam: "Słucham, centrala, podaj numer, halo!, tu Jabłonowo, centrala, zgłoś się!". Przekrzykują się telefonistki. Boże, jakim trzeba być młodym...

**N**iedawno spotkało mnie takie oto wyróżnienie. Wstąpiła przemiła panienka - rachmistrzyni z listą statystycznego spisu ludności. Strasznie żywa. Mierzyła mieszkanie, informowała, radziła troskliwie i zarazem tak śmiesznie. Chciała najdokładniej wypełnić swój obowiązek. Mnie też spisała! Cześć takiej rachmistrzyni. Kiedy pożegnałyśmy się, zawołałam: "Młodości, podaj mi



skrzydła".

Tylko, że młodość odeszła i niczego nie poda drugi raz. "*Czeres riczeńku/ Czeres bystruju/ Podaj ruczeńku/ Podaj druguju*".

Jabłonowo Pomorskie, luty 1979 r.



Mirosława Komińska (1993)



YouTube: <https://www.youtube.com/watch?v=bgNVJOF0IIQ&t=34s>



\*\*\*



Grób rodzinny na cmentarzu parafialnym w Brodnicy przy ul. Sądowej, kw. 7, rząd 21, miejsce 8 i 9.

Po wejściu na cmentarz idziemy alejką do wysokiego pomnika przy studni "Rok Jubileuszowy 1934", skęcamy w prawo, a potem zaraz alejką w lewo. Mijamy 16 grobów z prawej, dochodząc do wyróżniającego się grobu z 1920 r.: "Dr Jan Janaszek, Prezes Powiatowej Rady Ludowej". Stajemy plecami do tego grobu i idziemy przed siebie 7 rzędów grobów w głąb cmentarza. Tam pod kasztanem dwa groby: Kompińskich i Rzeszotarskich.

\*

Wspomnienie córki Anny Sobolewskiej

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Anna\\_Sobolewska\\_\(dzia%C5%82aczka\\_spo%C5%82eczna\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Anna_Sobolewska_(dzia%C5%82aczka_spo%C5%82eczna))  
pod adresem:  
[https://ia601405.us.archive.org/8/items/annasobolewskawspomnienia\\_201911/Anna%20Sobolewska%20-%20wspomnienia.pdf](https://ia601405.us.archive.org/8/items/annasobolewskawspomnienia_201911/Anna%20Sobolewska%20-%20wspomnienia.pdf)